

Rafał A. Ziemkiewicz
Szybki montaż

To niepojęte, myślę sobie, całe życie wiedziałem przecież, że ta chwila przyjdzie, a teraz nie potrafię opanować przerażenia. Czuję, jak drżą mi wargi i podbródek, a ręce trzęsą się tak, że o trafieniu palcem w przycisk „Play” nie mam nawet co marzyć. Może podświadomie staram się w ten sposób zyskać na czasie? Wiem przecież doskonale, co ukaże się na ekranach, kiedy nacisnę ten klawisz, więc może jakaś część mnie chce jeszcze przez te kilka sekund rozpaczliwie czepiać się nadziei, że to tylko piramidalna pomyłka, niewiarygodny zbieg okoliczności, i za chwilę wszystko się wyjaśni?

Ale rozsądek mówi: wyjaśnienie jest tylko jedno. Trzeba zdobyć się na odwagę, okazać mężczyzną i spojrzeć śmierci w oczy. Nabieram głęboko powietrza, zmuszam drżącą dłoń do posłuszeństwa i kładę wskazujący palec na przycisku. Jeszcze chwila — bardzo potrzebuję tej chwili — i nacisnę go zdecydowanym ruchem, znieruchomiały przy montażowym stole, ze wzrokiem wbitym w ekran, w bladej poświacie wlewającego się przez żaluzje światła.

Miała to być zwykła, szybka chałtura. Jedna noc pracy, parę godzin gotowego materiału, pieniądze w kieszeń i do widzenia. Tylko, powtarzał Waldek, niczemu się nie dziw i o nic nie pytaj. To świetna fucha, ale nie wolno się o nic dopytywać. Załapiesz, o co chodzi, jak zobaczysz. Po prostu weź materiał z kontenera, zmontuj, odłóż rano z powrotem, a rozliczymy się między sobą.

Tłumaczył, że w życiu by nie odpuścił, gdyby go nie dopadł ten atak, i rzeczywiście, sapał w słuchawkę tak, jakby miał zaraz umrzeć. Wiesz — rozumiesz, mam z nimi za dobry układ, żeby zawalić, tobie jednemu, po przyjaźni, w zaufaniu, pamiętaj, ani pary z gęby, Maul halten, tajemnica jak grób i tak dalej. Oni nie zwrócą uwagi, kto tam siedzi, w ogóle nikogo nie musisz widzieć. Opisał, gdzie będzie stał kontener z materiałem do zmontowania. Odłóż przed światłem w to samo miejsce, tylko o nic się nie dopytuj, a rozliczymy się potem. Z pięć razy to powtórzył, jakby było trzeba. A niby kto by nie chciał zarobić paru groszy ekstra? Zwłaszcza w naszym fachu. Bo montażu musisz się uczyć i uczyć, a potem wszystkich potencjalnych pracodawców można policzyć na palcach. Wylecisz z telewizji, to jakbyś w ogóle nie miał zawodu. Więc żeby nie wylecieć, musisz znosić każdy kaprys jaśnie panów prezesów z partyjnego rozdania, godzić się na coraz gorsze stawki i skakać z radości, jak wpadnie jakaś chałtura — złapią Saddama czy coś takiego i trzeba kleić materiały na szybko. Taki farciarz jak Waldek, co się szarpnął na własną, małą montażownię i żył z prywatnych zleceń, trafił się bodaj tylko jeden. Teraz się domyślam, skąd ten fart.

Oczywiście spodziewałem się czegoś trefnego. Gubiłem się w domysłach: znowu ktoś wykradł taśmę z nocnej narady u prezydenta? Mafia nagrywa sobie filmy z egzekucji? A może nieudawane pornosy dla bogatych sadystów czy pedofilów? No, do tego ostatniego — aż się zaśmiałem na taką myśl — nie wyobrażam sobie, kto by pasował mniej niż Waldek. Ale mało to na tym świecie świętoszków? Zresztą była to tylko czysta ciekawość: obiecałem o nic nie pytać ani nie wygadać i byłem zdecydowany słowa dotrzymać. Chociaż kiedy w końcu dorwałem się do kaset — leżały, gdzie miały być, w przyległym do montażowni, zamkniętym na głucho magazynku — skręcało mnie z ciekawości. Zwłaszcza że kasety już na pierwszy rzut oka były dziwne. Niby takie jak zawsze, ale bez żadnych znaków firmowych. Pudełka, sam kontener, wszystko bardzo porządne i ani śladu marki. Nigdy jeszcze nie wiedziałem, żeby producent w żaden sposób nie oznaczył swojego wyrobu.

Wecisnąłem pierwszą z brzegu kasetę w kieszeń podającą, odpaliłem, obejrzałem parę minut — zupełnie rozczarowanie. Nie było w tym nic nielegalnego, po prostu sceny z życia rodzinnego, tyle że zbierane kamerą umieszczoną jakby w pozycji oczu dziecka. Skręcone o niebo lepiej niż zwykle śluby czy chrzciny, ale nic więcej. Jakieś drobne, dziecinne grzeszki, jakaś płacząca kobieta. Przewinałem kawałek dalej: po przeciwnej niż kamera stronie stolika

w knajpie jak z „07 zgłoś się” siedział facet o buraczanej gębie i groził komuś, że jeśli nie będzie pisać raportów, o czym i z kim rozmawia, może się pożegnać z paszportem. Zbliżenie: wypisany na maszynie dokument, dłoń zostawiająca drżący podpis i zgarniająca plik pięćdziesięciotrójków ze Świerczewskim. Dużo sentymentalnych scen z kobietami, dużo przemazań twarzy, podniesione głosy, śmiech, płacz. Następna kasetka mniej więcej to samo i następna też, tyle że ta jedna nie po polsku.

Obok kontenera Waldek zostawił mi swoją instrukcję: wybrać z każdej kasetki najbardziej ekspresyjne, charakterystyczne momenty. Sceny po dwie, trzy sekundy, nie więcej — błysk, sygnał, niczego więcej nie trzeba. Temu, kto będzie oglądał, wystarczy sama twarz, słowo, żeby sobie przypominał, co to za sytuacja, z kim i kiedy. Szybki montaż, jak na teledysku. Prosta robota, chociaż żmudna.

Waldek pewnie robił to od dawna, miał wprawę — ale i tyle, co napisał, wystarczyło mi, żebym łatwo złapał rytm pracy. Szybko zrozumiałem, dlaczego nie chciał nic tłumaczyć. Brałem kasetę po kasecie, montowałem jedno życie po drugim, od małych, drobnych spraw dzieciństwa po świństwa robione żonom i mężom, pierwsze pieniądze, pierwsze picie, pierwsza randka, moralne wybory, które z perspektywy lat znaczą mniej od zeszłorocznego śniegu, ale w swoim czasie wydawały się czymś nieopisanie ważnym i trudnym... Po paru godzinach można było nabrać rutyny.

Niczemu się nie dziw, powiedział Waldek, więc w porządku, niczemu się nie dziwiłem. Załapiesz, jak zobaczysz? Jasne. Skoro każdy z nas musi w swoim czasie obejrzeć taki film, zmontowany szybko jak teledysk, tak żeby w ciągu tej jednej, ostatniej chwili przypomnieć sobie całe życie, no to ktoś przecież musi coś takiego przygotowywać. Czy tam nie mają własnych montażowni? Myśl nie zaprzętała mnie długo. Pewnie mają, ale od czasu do czasu musi się zdarzać jakieś spiętrzenie pracy. Jakaś katastrofa, jak World Trade Center. Wojna. Albo epidemia. Wtedy tam słyszą: pięć tysięcy filmów na jutro! I co mogą zrobić? Tylko jedno: to samo, co zrobił powalony nagłą chorobą Waldek i co zrobiłby każdy — znaleźć podwykonawcę.

Proszę bardzo, pomyślałem sobie, wrzucając kolejną kasetę. Już nawet zaczęło mi się podobać. Teraz to była jakaś dziewczynka, w kolejnych scenach wyrastająca na podrywana przez wszystkich studentkę, potem specjalistkę w dużej firmie. Szkoda dziewczyny, pomyślałem sobie, musiała być niezła laska, bo facetów kręciło się wokół niej z kilkunastu. Aż nagle pojawił się ten jeden, który się oświadczył...

Gardło ścisnęło mi się boleśnie, w żołądek wgryzł się robak paniki. Poznałem tego faceta, oczywiście. Nie mogłem go nie poznać. To ja. Montowałem życie swojej własnej żony.

I dopiero w tej chwili dotarło do mnie, że w żadnym, żadnym z tych zmontowanych dziś filmów nie widziałem scen starości, dorosłych dzieci, starczych chorób, demencji. Cokolwiek ma zabić wszystkich tych ludzi, nad których losami spędziłem noc, zginą młodo i nagle. Są chwile, pomyślałem znowu, gdy tam robota się spiętrza. Co czeka nas tutaj? Samolot spadający na nasze osiedle? Epidemia? Zamach?

* * *

Drżącą dłonią wyjmuję z maszyny kasetę, na której ktoś zarejestrował życie mojej żony, i biorę do ręki następną. Jest taka sama jak wszystkie, nie oznaczono jej w żaden sposób, a przecież jakimś szóstym zmysłem wiem ponad wszelką wątpliwość, czyje życie pojawi się na ekranach zestawu montażowego, kiedy wreszcie zdołam zapanować nad drzeniem rąk i nacisnąć klawisz z napisem „Play”.